

Landslide

Właściwie nie mam w pamięci obrazu samego dnia wyborów, np. pogody czy szczegółów głosowania. Potrafię jednak przywołać nastrój tego dnia. Stąd „fotograficzna” pamięć splata się z refleksją.

Była to radość uczestniczenia w patriotycznym czynie, odczucie satysfakcji z wypełniania powinności, jakiejś ulgi, że to nareszcie się spełnia. Możliwość wyboru była też pierwszy raz urzeczywistnieniem elementarnego obywatelskiego prawa, którego władza nam dotychczas odmawiała.

Przekonanie, że mamy przygniatającą większość, nie było jednak tym samym co pewność wygranej.

Wszystko bowiem, co dotąd mogliśmy zrobić, to uchylać się od uczestniczenia w narzuconym fałszu „głosowania”, którego wyniki, ustalone a priori, służyły czemuś, co w naszej najgłębszej świadomości było sprzeczne z polską racją stanu.

Sam moment wyborów poprzedzało wiele działań i przygotowań. Można tu przywołać drogę znacznie dalej sięgającą wstecz, bez której te wybory nie doszłyby do skutku: powstanie Solidarności, odradzanie się więzi społecznych, poczucia tożsamości, patriotyzmu, wszystkiego, co w okresie PRL ulegało zakłamaniu i dezintegracji, w tym także stan wojenny, który, po początkowym szoku, uruchomił olbrzymie pokłady zdolności do mobilizacji i działań „u podstaw”, aż po Okrągły Stół i przygotowania do samych wyborów, Komitety Obywatelskie, spotkania, zbieranie funduszy, etc.

Wreszcie wieńczący kampanię słynny plakat z postacią Gary’ego Coopera jako szeryfa z filmu *W samo południe*. To był naprawdę strzał w dziesiątkę. Trudno o bardziej jednoznaczne skojarzenie po czyjej stronie jest racja, prawość, determinacja. Gdzieś w duchu, choć nie przyznając się do tego, czuliśmy się prawie tak odważni i zdeterminowani jak on.

Kilka dni przed wyborami brałem udział w spotkaniu w wypełnionej po brzegi sali Filharmonii Krakowskiej, wykupywaliśmy „cegiełki” na fundusz wyborczy Komitetu Obywatelskiego. Jednym z uczestników był Jan Rokita, który nieco się spóźnił po wcześniejszym spotkaniu z hutnikami. Jego wystąpienie spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem.

W czasie wyborów odwiedzili mnie znajomi z Wielkiej Brytanii – on Anglik, ona Polka. W dniu oficjalnego ogłoszenia wyniku wyborów czekaliśmy na przystanku autobusowym przy ul. Wrocławskiej, na witrynach pobliskiego sklepu były rozlepione obwieszczenia, Hania powiedziała: „Piotr, to jest landslide!”. To był chyba najbardziej trafny komentarz.

Wybory 4 czerwca zwiastowały wyrwanie się z marazmu i szarości peerelowskiej rzeczywistości, która, jak mawiano, „skrzeczy”. W istocie rzeczywistość domagała się wielkim głosem: „normalności!, normalności!”.

Pamięć o wyborach 4 czerwca powinniśmy tym bardziej kultywować, że obecnie od normalności zaczynamy się coraz bardziej oddalać.

PIOTR MACKO

Solidarité – fraternité

Pierwszą połowę 1989 roku spędziłem w Marsylii jako *professeur invité* w Université de Provence. W owym czasie nie było jeszcze dostępu do internetu. O sytuacji w kraju dowiadywałem się z mediów francuskich, które wówczas stosunkowo dużo miejsca poświęcały wydarzeniom w Polsce. Szczególnie bogatym źródłem wiadomości była dla mnie stacja radiowa France Info, na której wzoruje się w Polsce TokFM. Ominęło mnie więc głosowanie w kraju 4 czerwca 1989 roku. Prowansja żyje swoim rytmem i hojnie obdarzona przez naturę trzyma się z dala od wieści z dalekich krajów. Radość z odzyskanej przez nas wolności mogłem więc dzielić z bardzo skromnym gronem, głównie z moim przyjacielem, nieżyjącym już Jackiem Gilewiczem, profesorem w Université de Toulon, niegdyś asystentem w Instytucie Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Zdecydowanie silniejsze zainteresowanie towarzyszyło zmianom w Polsce po czerwcowych wyborach w 1989 roku na północy Francji, w departamencie Nord ze swoją stolicą Lille, w regionie, który jest silnym skupiskiem Polonii francuskiej (potomkowie polskich górników przybyłych tam w latach 20. ubiegłego wieku do pracy w okolicznych, nieistniejących już dzisiaj kopalniach węgla). Upadek reżimu komunistycznego w Polsce przyjęto tam z dużym entuzjazmem, a także z podziwem dla bezkrwawego przebiegu procesu transformacji ustrojowej, co przeniosło się na przejawiane często wyrazy sympatii w stosunku do Polaków. Doświadczyłem tego nieraz w ciągu 6 miesięcy 1990 roku,

które spędziłem jako *professeur invité* w Université des Sciences et Technologies de Lille. Do tej atmosfery dostroiła się nawet lokalna administracja; bez specjalnych zabiegów uzyskałem w Prefekturze *carte de séjour* na okres pobytu we Francji, co mnie mile zaskoczyło, po kłopotach w latach 80. w innych francuskich departamentach z uzyskaniem tego dokumentu (fala ksenofobii spowodowana zamachami bombowymi we Francji w owym okresie). Urzędniczka Prefektury w Lille wyjaśniła mi powód: „Polacy i Libańczycy mają w tej chwili we Francji swoje pięć minut”. Uprzywilejowanie Libańczyków wynikało z historycznych przyczyn (byli pod administracją francuską przed II wojną światową) oraz z solidarności z nimi z powodu toczącej się w Libanie w latach 1975–1990 wojny domowej. Sprzyjający wówczas Polsce klimat pomógł też zdobyć grant, sfinansowany całkowicie przez francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, na czteroletni projekt współpracy naukowej *Réseau Formation-Recherche – Europe Centrale et Orientale* w zakresie analizy matematycznej i teorii aproksymacji, którego byłem współkoordynatorem wspólnie z prof. Anne-Marie Chollet (Université des Sciences et Technologies de Lille). Na koniec smutna refleksja. Nikomu, przynajmniej w moim środowisku, nie przychodziło w owych dniach do głowy, że tęsknoty polityków sprawujących władzę do „sprawdzonych” metod rządzenia, wzorem z dopiero co obalonego systemu, nie znikną na zawsze. Zatrzuca to radość z odzyskanej przed trzydziestu laty wolności.

WIESŁAW PLEŚNIAK